

Recenzja: Audeze LCD-4z

Opublikowano 3 czerwca 2019 » Kategorie: Recenzje, Słuchawki » 6 Komentarzy
HiFi Philosophy

Akurat trzy lata minęły w kwietniu od recenzji modelu LCD-4 bez „z”, który był tych tu teraz pierwowzorem. Choć tak naprawdę był nim model LCD-3, którego ta pierwsza „czwórka” stanowiła rozwinięcie w imię większej naturalności a mniejszego „rozgrzania”; albowiem LCD-3 uchodziły za wyjątkowo gorące, i nie bez racji. Dobrze im to jednak służyło, ogromnie mi się spodobały, z tym, że tak naprawdę jedynie te pierwsze, przy użyciu których napisałem recenzję, a dwa egzemplarze późniejsze już nie tak bardzo, bo mniej właśnie były gorące i jakieś takie trochę nijakie. Podobanie LCD-3 nie przeszkodziło jednak podobaniu LCD-4, które faktycznie dawały obiecywane obiektywniejsze brzmienie, lecz bynajmniej nie nudne – przy odpowiedniej jakości sygnale wyjątkowo precyzyjne i całościowo mistrzowsko zrealizowane.

Budowa



Nowe topowe Audeze.

Pytanie więc się narzuca – po cóż jeszcze te drugie LCD-4z, skoro oba klasyczne style brzmienia Audeze modelami LCD-3 i 4 objęło? Albo, czepiając się od ogonka: Co niby to małe „z” ma znaczyć? Okazuje się, że niemało; a dokładniej różnicę pomiędzy impedancją 200 Ω , jaką odznaczyły się LCD-4 pierwotne (wciąż zresztą oferowane, ale w wersji 2018 to już tylko 100 Ω), a wynoszącą jedynie 15 Ω , jaką odznaczają się nowe „z”. Jako że są – oto sedno – te nowe przystosowane do najpopularniejszego teraz sprzętu przenośnego, ergo do napędzenia łatwe. I w takim razie potencjalnie też na ulicę, niespecjalnie więc rzucające się w oczy, czarne. A także starające się o lekkość – bez hebanu w oprawkach muszli i tymi muszlami całymi z magnezu, a pałąkiem z karbonu. Mimo to z przeznaczeniem ulicznym sprawa wydaje się krucha, gdyż mimo prób odchudzenia waga to wciąż ponad 600 gramów i małe-zgrabne z pewnością te nowe „z” nie są. Na pewno jednak zgrabniejsze i mniej rzucające się w oczy. Pokrywy boczne nie są płaskie i powlekane bijącym po oczach chromem, tylko matowo-czarne i ładnie na krawędziach zaokrąglone; przechodzące płynnie w wyjątkowo mięsiste i grube pady z ekologicznej (chyba) skóry. Ekologiczna okazuje się też ażurowa opaska nagłowna, podwieszona pod karbonowym

pałakiem właściwym, którego regulację w pionie realizują tradycyjne u Audeze karbowane prowadnice, przytwierdzone obrotowymi sworzniami do smukłych chwytaków muszli. Skrętności we wszystkich kierunkach dodaje wyjątkowej giętkości sam pałak, i jedyne, co można wytknąć, to wzmiankowany spory ciężar oraz trochę za duży nacisk boczny na dolnych krawędziach padów, wynikający ze sposobu łączenia muszli z pałakiem, a ściślej kąta tego łączenia. Za to uszy bez trudu mieszczą się w głębokich na nie komorach, a całość prezentuje ekskluzywnie, choć nie oferuje aż takiego przepychu, jak Final Audio Sonorous X z ich prawdziwymi złoconiami.

Kabel jest odpinany, lecz stanowi kolejną wadliwość odnośnie spacerowego użycia, ponieważ w komplecie znajdziemy tylko jeden – na 2,5 m długości. Dość lekki wprawdzie i znakomicie giętki, no ale jednak długi i zakończony dużym jackiem od Neutrika, który do lekkich i małych nie należy. Pewną odpowiedź na te wadliwości znajdujemy w ofercie Audeze, gdzie figuruje jeszcze jeden model z czwórką – Audeze LCD-MX4. Ale i on ma długi kabel zakończony dużym jackiem, choć cały czarny i cieńszy. W związku z czym zastosowania uliczne nie wydają się pierwszym wyborem dla wszystkich słuchawek z serii LCD-4, a samo Audeze zdaje się cedować sprawę na modele dokanałowe, których w ofercie ma parę. Tym bardziej, że wszystkie trzy ekskluzywne „czwórki” to słuchawki otwarte, robiące wokół siebie sporo hałasu, a dwa podobne do nich modele zamknięte należą do serii niższych. Tak więc nasze „Z” i jego niższa impedancja to przede wszystkim ukłon w stronę łatwości napędzania małymi grajkami dużych słuchawek w zaciszu domowego ogniska, rzecz umożliwiającą sensownie pożenie z nimi smartfonu, czy innego mniejszych rozmiarów tałatajstwa, aby najwyższej ligi słuchawkowej dostąpić mogło.

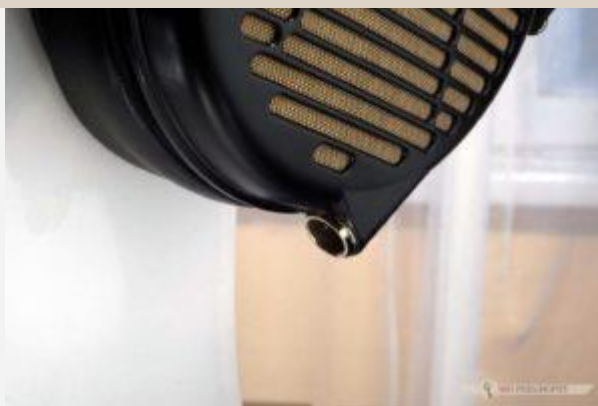
Uzupełniając sprawy widoczne i użytkowe, wspomnijmy jeszcze o wyjątkowo dużym kejsie podróznym z porządnego tworzywa, w którym oprócz słuchawek, osobno zwiniętego w swojej przegródce kabla z odnośną przejściówką, a także pendrajwu z instrukcją obsługi i dokumentów sprzedażowych, niczego więcej nie znajdziemy. Kabel jest jeden, stojaka brak, nie ma też poręczniejszego niż duży kufer etui na drogę. Pozostają same bycze słuchawki, otaczane przez producenta i liczne grono fanów nimbem genialności. I teraz o nich od środka.



O czarnych i obłych muszlach.

W magnezowych muszlach, za ażurowymi szczelinami, przez które prześwituje złocista, gęsto tkana siateczka ochronna, znajdujemy to wszystko, co poprzedniemu modelowi LCD-4 pozwoliło się wybić na wyżyny słuchawkowego świata. Poczynając od wyjątkowej membrany ochraniającej patentem, która nie tylko ma zmienną grubość na poszczególnych obszarach aktywności, aby się lepiej dopasowywać do zmiennej w zależności od punktu siły magnesów, ale też generalnie, jako całość, wagę mniejszą od powietrza. To nie jest w branży audio novum, już dawno temu takie membrany miały głośniki wstęgowe, niemniej rzecz robi wrażenie, budząc emocje i respekt. Przyjemnie móc pomyśleć: „Mam na głowie coś wyjątkowego i owo coś produkuje dla mnie nadzwyczajną muzykę”. Membrany mają średnicę 106 mm przy średniej cienkości 5 mikronów,

są zatem o wiele większe od tych, na jakie pozwolić sobie mogą najlepsze nawet pod tym względem słuchawki dynamiczne. Od strony napędowej obsługują je mające półtorej Tesli mocy (maksymalnie więc mocne) magnesy neodymowe, wspierane innym patentem – zagęszczającą pole magnetyczne przy jednoczesnym spadku wagi samych magnesów technologią Fluxor™. I na tym wspierania nie koniec, albowiem po stronie ucha samo końcowe brzmienie wspomagają też ekskluzywne dla firmy Audeze tak zwane Fazor™, czyli przypominające drabinkę ustroje akustyczne, po których można przejechać palcem poprzez tkaninę osłony wewnętrznej. Do wyjątkowej jakości brzmienia przyczyniają się też odpowiednio dobrane rozmiarem szczeliny po stronie zewnętrznej i cała konstrukcja otwarta, a choć pewnie byś na to nie wpadł, przyczynia się do tego także konstrukcja pałąka. Tę podpatrzono u Grado, a Joseph Grado wspominał o swych legendarnych HP-1000, że taki kształt dużo znaczy dla jakości powstającego dźwięku. Nie bez znaczenia jest też duży, dzięki głębokim padom, dystans pomiędzy uchem a membraną, i mógłby też się do jakości przyczyniać wysokiej jakości kabel, ale się nie przyczynia. Z kablami lawiruje Audeze od samego powstania, co chwilę ma jakieś inne. Raz lepsze, a raz gorsze – a ta tutaj plecionka „pieprz z solą” jest znośnej acz nierewelacyjnej jakości, co zaraz się okazało w konfrontacji z Tonalium. I możecie się zżymać, ale darowałem sobie ten słabszy, testy odbyłem z własnym. Raz, że to mi zaoszczędziło irytacji, a zirytowany recenzent nie jest zbyt miarodajny; dwa, że pokazało faktyczny potencjał słuchawek, co jest w tym wszystkim najważniejsze. Uzupełniając o tych kablach. Nie można od Audeze nabyć lepszego, trzeba poszukać u producentów zewnętrznych. Tych nie brak, istna chmara, ale dlaczego sami konstruktorzy nie wskazują optymalnego, to słodka ich tajemnica, albo efekt lenistwa. Najwyraźniej uważają swój za wystarczający i oferują w razie zniszczenia lub zgubienia nowy w cenie \$599. Oferuje także Audeze firmowy stojak na słuchawki za skromne \$24 i podobnie niedrogo to etui na podróż za \$39 – dając jasno do zrozumienia, że same cztery tysiące dolarów za słuchawki, to jeszcze dla nich mało. (U nas, po obłożeniu VAT-em, to 18 995 złotych.)



Z dodatkem przeszwitującego złota.

Techniczne te wysiłki przynoszą rezultaty w postaci pasma akustycznego 5 Hz do 50 kHz, poziomowi zniekształceń harmonicznym poniżej 0,1 %, czułość 98 dB i zdolność do optymalnej obsługi sygnału już od 250 mW poczynając. Jednocześnie słuchawki mogą przyjąć nawet 5 W mocy ciągłej, a w pikie aż piętnaście. Audeze oferuje do kompletu z nimi dwa firmowe wzmacniacze, w tym droższy za \$4495, ale żadnego z nich nie miałem, co w sumie żadną stratą, własny mam jeszcze droższy.

Odsłuch: Z Astell & Kern AK380



I pałkiem z karbonu.

Zacząłem od sprzętu przenośnego, skoro to jego tyczyć miała historia z niską impedancją. Używając metody podsłuchanej u komisarza policji z *Le grand restaurant*: trzeba przesłuchiwanego obłożyć z obu stron rozgrzanymi śledczymi, a wówczas się okaże, co tam chowa w zanadru. Za śledczych posłużyły słuchawki tak samo ekskluzywne, planarne i otwarte – Final D8000 i Meze Empyrean. Źródłem przenośnym natomiast, jak to ostatnio bywa, był równie ekskluzywny Astell & Kern AK380. I w tej jedynie lokalizacji zdecydowałem się na użycie oryginalnych kabli Meze i Audeze, które wtyki przy muszlach mają identyczne – tak samo mini XLR.

Final D8000

Na dzień dobry ruszyły jednak Final D8000 ze swoim srebrnym kablem zakończonym małym jackiem; nie potrzebujące zatem, jako jedyne, przejściówki Grado (tej najlepszej, wielożyłowej). I poprzez to swoje srebro zagrały ekspresyjnie, natarczywie i blisko. Słowo „natarczywie” nie ma jednakże w ich kontekście niczego z pejoratywu. Znaczy jedynie, że narzucały się z brzmieniem, nie zostawiając luki na błędzenie myślą w szczelinie między nim a słuchaczem. Takiej szczeliny nie było, dźwięk całkowicie przywierał i właśnie był ekspresyjny. Strzelający sopranami, uderzający potężnym basem oraz bardzo nieznacznie, ale jednak, podkreślający sopranowym ołówkiem wyrazistość konturów. Niczemu to nie przeszkadzało, jako że jednocześnie wyjątkowo był objętościowy, co wraz z całościową dynamiką i ekspresją momentalnie się odczuwało – i odczuwało jako świetność.

Zdaję sobie sprawę, że opis ten częściowo odbiega od charakterystyki Final D8000 z recenzji, ale dopiero teraz grały przez to swoje cenniejsze srebro prosto z przenośnego plejera, czyli – biorąc pod uwagę dzisiejsze realia – grały w lokalizacji najbardziej docelowej. Grały głośno i szybko, a także ekspresyjnie, zadowolając się w zupełności mikrą mocą wbudowanego wzmacniacza. Uzupełniająco dodać można, iż był to styl zbliżony do charakterystycznego dla Sennheiser HD 600, jeżeli wyjąć z tamtego dalej położony pierwszy plan i zastąpić go bliskim. Brzmienie ciemne i jednocześnie lśniące iskrzyło się szczegółami, w nadzwyczaj efektowny sposób odcinającymi się od tła potężnych i niespotykanych przestrzennych dźwięków. Ekstremalnie efektowne i oczywiście jakości wyższej niż u słuchawek za tysiąc złotych z kawałkiem, choćby nawet najlepszych – ale stylistycznie do tych Sennheiser podobne. Od siebie dodawało oprócz bliskości i jakościowego wzrostu także charakterystyczną dla innowacyjnych planarów Finala zjawiskową otwartość, jakiej

chyba żadne inne słuchawki nie mają. Zjawiskową także potęgę i przemożne poczucie u słuchacza doznawania muzyki w sobie. Nie poprzez granie w środku czaszki, bo takiego nie było, ale poprzez tę bliskość, siłę ataku i rozmiar XXL dźwięków. To było coś, niewątpliwie...

Meze Empyrean



A prowadnicami jak dawniej.

Po przejściu na flagowe Meze z miejsca pokazało się kilka różnic. Pierwszy plan nieco dalszy i bardziej z perspektywą, tonacja nieco wyższa i nie podszyta tak mocno basem, a same dźwięki wraz z tym odsunięciem o mniejszej objętości i nie oleisto lśniące, a bardziej pastelowe. Jednak podobnie nasycone (to znaczy bardzo mocno) i z dobrym wypełnieniem, pomimo tego mniejszego udziału basu. Atak także na miarę szarży, ale nie takiej dosięgającej już laną, tylko jeszcze o kilka końskich skoków. Również budzący groźną mocą, ale sekundę przed skurczem, jakiego odruchowo doznajesz w obliczu ostatecznego uderzenia i zwarcia. (Akurat muzyka z *Gladiatora* się nawinęła w korowodzie porównań.) Akcent objętościowy także mocno obecny, ale przesunięty z wnętrza nich samych na cały obszar sceny – że nie tylko te dźwięki obszerne, ale też w głąb daleko widać i wszystko w całość się układa. Głosy tym mniejszym basem przy wyższych sopranach lżejsze, a za to mocno natlenione i wokaliści posadowieni na scenie, nie tacy tuż przy uchu. Co w sumie mnie zaskoczyło, bo Final zwykły grać dosyć blisko, ale nie bliźniutko. Tym razem jednak o wiele bliżej od konkurenta i w sumie sporo inaczej. Bliżej, niżej i bardziej nasyconym oraz połyskującym dźwiękiem, a Meze z całościowym oglądem sceny, bez lśnienia, nieco łagodniej, nieco wyżej i z dużym tlenem (ale Final też). Jedne i drugie bardzo pogłosowo oszczędne, ale D8000 bardziej. Jedne i drugie kapitalnie radzące sobie z przesterami, sybilacją, najniższymi zejściami etc. Przewaga Meze zaznaczała się w oddawaniu całościowej akustyki i z nią związanego poczucia wnętrza, a Final epatowały bliskością oraz ciężarem brzmienia, rozjeżdżając słuchacza niczym muzyczny walec. Jedne i drugie oferowały przy tym ten sam poziom przejrzystości medium i fantastycznej szczegółowości, tyle że u Final była to otwartość bez ścian, u Meze ze ścianami. Jednakowy jedno i drugie prezentowały poziom, ale wyraźnie po swojemu. Przy identycznej temperaturze i gładkości brzmienia, które należy określić jako w najwyższym stopniu trafne. Dwa super realizmy słuchawkowe, ale wyraźnie różne.

Audeze LCD-4z

I jesteśmy u celu, u przedmiotu recenzji. A cel ten... no, no – kawał celu, warto było ustrzelić! Dźwięk ponownie się zbliżył, cokolwiek znów obniżył i nieco zmienił fakturę. Tak samo jak u Empyrean o pastelowym był pokryciu, ale jednocześnie z powłoką bardziej meszkową, bardziej złożoną na powierzchni. I dzięki temu jeszcze mocniejsze się rodziło poczucie kontaktu z żywą istotą w przypadku wokalistów. W konfrontacji z oboma słuchawkami konkurencji operowały flagowe Audeze dźwiękiem bardziej zwartym i na sobie skupionym. Zwłaszcza w odniesieniu do Final mniej kontrastowym, nie tak eksponującym skraje pasma. O Final w tym porównaniu można było powiedzieć, że grają jak poprzez equalizer ustawiony na podbijanie wszystkich trzech zasadniczych zakresów (zaskoczenie!), podczas kiedy Audeze dbały nie o efekty wzmocnienia w obszarach newralgicznych, a samą najczystsza prawdę. Ze średnim zakresem nieznacznie niższej niż u Empyrean ustawionym i dozą ogólną sopranów dobraną w taki sposób, ażeby żadne podkreślanie nimi konturów się u nich nie pojawiło. Znakomicie to odebrałem, jak styl całkowicie pozbawiony prób dodania czegoś do dźwięku, uzyskania efektu dodatkowego. Jeżeli już, to prędzej gotowy na odjęcie czegoś w imię unikania cienia chociażby przesady, w imię zachowania naturalności. Minimalnie więc czasem sopranowo złagodzony na rzecz prawdziwości tonów średnich, których nie wyostrzały tutaj ani sopran z góry, ani nie podbijał bas z dołu. Nie dorzucały też nic od siebie pogłosy, których niemal nie było, czego nie należy mylić z wypychaniem średnicy, bo nic takiego też się nie działo. Pasma o wyjątkowej spójności i naturalności, że jakbyś siedzącego obok słuchał. Opróżnione z tego wszystkiego, co można nazwać akustyczną nadgorliwością konstruktorów czy nagraniową sztuczną podniętą. Próżno było w tym szukać euforii innej niż sama muzyka, prób wtrącenia nas w świat nadrzeczywisty, siebie przekraczający. Świata sopranów sypanych garściami i basu jak smoła z beczki – że piekło to czy niebo, ale na pewno nie realność. Chyba że w noc zimową, gwieździstą z ozdobnym skrzypleniem śniegu. (Czego tutaj nie mylmy z niską temperaturą, biorąc jedynie sam pejzaż niczym z bajki.)



Jednakże nowym kablem.

Kiedy mamy Audeze, idziemy jak w lecie połą ścieżką. Słoneczko nie za ostre i kurz niczym prawdziwy, a głosy nie tylko autentyzmem spokojne – żadną przyprawą nie wzmocnione – ale też znakomicie, najlepiej z tych tu teraz, uplasowane w przestrzeni. Doskonale obrazujące swe źródło jako punkt wyjścia i z niego wędrujące, co potęgowało realizm. Realizm nie dla tych wszakże, którzy szukają wzmacniającej podniety w migotliwym świetle, aurze pogłosów czy krajobrazie niczym z baśni, ale tych, którzy chcą mieć muzykę niczym prawdziwą łąkę. Albo rozmowę z kimś tuż obok w pokoju czy na spacerze, a nie pod kopułą londyńskiej katedry św. Pawła, gdzie szept najcichszy się rozrasta i niesie na dziesiątki metrów. Audeze nie grają zwykłą gitarą jak

akustyczną, zadowolają się normalną. Więc możesz pomyśleć – nuda! – ale myśl to chybiona. Ponieważ też mają siłę sprawczą i mają bezpośredniość. A jeszcze ta ich niewysilona prawdziwość działa potęgująco. Doskonale to słyhać nie tylko w autentyzmie głosów, ale w stopniu jeszcze bardziej dominującym pałkami po membranach czy na strunach gitary. Wówczas zjawia się inny kontrast niż wyteżony bas-sopran Finali, czy rozgraniczający przestrzeń kontur Meze; kontrast pomiędzy muzyką a życiem. Można powiedzieć, tak dana – bez dodatkowych podniet i sobą tylko będąca – robi piorunujące wrażenie w kontraście z prozą dnia. Kontraście niewysilonym, niczym nie podbarwianym i tym właśnie mocnym. Nie są to słuchawki dla amatorów dodatkowych wrażeń. Jeżeli szukasz takich, to te się nie nadają. Nie należą do tych, z którymi wyda ci się: „najwięcej usłyszałem”. Nie epatują niezwykłością, ale naturalnością i spokojem. Z temperaturą też oczywiście jak prawdziwą, ze stuprocentowym przeglądem szczegółów i całkowitą przejrzystością, przy stylu wolnym od pogłosów, o którym można powiedzieć, że akustycznie bliski, nie odbijany od ściany.

Odśłuch cd.: Przy komputerze



A padami lekko zmodyfikowanymi.

Mam poczucie, że nie przekonałem czytelników do tych Audeze tak mocno, jak one mnie do siebie. Ale nic, brnijmy dalej, ku poziomom coraz to wyższym, choć ten przy Astell & Kern już był bardzo wysoki. I przypominam – Audeze oraz Meze dostają teraz lepszy kabel – ten sam do obu pasujący, miedziano-srebrny Tonalium. A sprzęt generujący sygnał to teraz DAC Ayon Stratos i wzmacniacz słuchawkowy Ayon HA-3.

Meze Empyrean

Zacznijmy dla odmiany od Meze. Od nich głębokie, gęste (teraz wyraźnie bardziej), ale nie przyciężkawe, nie ściągające wyraźnie ku basom brzmienie, z wyczuwalnym i także nieznacznym pogłosem oraz umiarkowanie dawkowanymi sopranowymi przyprawami: chrypką i ostrością konturów. A wszystko to bardzo z sensem i na takim poziomie, że momentalnie porywa słuchacza, każąc mu zapomnieć pod naciskiem jakości o całym bożym świecie. Pokazowa dynamika, akuratnie podane tempa, moc, nasycenie, otwartość oraz bliskość, ale bez wpierania do głowy, pozostająca na obrysie. Spojone w całość, a jednocześnie pięknie rozwarte pasmo – z misternymi i trójwymiarowymi sopranami i mocnym, objętościowym basem. Ten bas teraz o wiele lepszy, nareszcie bez śladu niedomówień, a sopran „dzwonowe” – obszerne, dźwięczne i jakością budzące respekt. Pomiędzy skrajami pasma głosu z idealnie dobranym wypełnieniem i naturalnie melodyjne (podobnie jak cła reszta), z nieznaczną – podnoszącą wrażenie nadzwyczajnej jakości – aureolą pogłosów. Śladu najmniejszego w nich utwardzenia czy przejść płaskich na konturach; wszystko obłe, z piękną dźwięcznością wypowiedane, że tylko słuchać,

sluchać... Zawieszone w zupełnej transparencji medium o odczuwalnym teraz ciśnieniu i z migotkami planktonu na tłach aksamitnie czarnych, dodających wszystkiemu splendoru. Bezpośredniość zupełna, pełny kontakt z drugą osobą, a te osoby nieobojętne, ale ich nieobojętność w sam raz. Ani cienia histeryczności na bazie złych sopranów, ani śladu rozlazłej ospałości na bazie przerostów basu. Ale też nuta nostalgii dzięki tym samym sopranom, które rysują wyraźnie. Szczeknięcie w *Song of White Vangelisa* (to z drugiej części utworu) wyraźnie zaznaczone oraz złożone akustycznie, chociaż z najlepszych systemów (ostatnio z dużych kolumn Zingali) potrafiło być jeszcze bardziej złożone i lepiej rozpraszane na przestrzeń. Scena wysoka, otwarta i duże źródła dźwięku, a całość – muszę to jeszcze raz powiedzieć – taka że: Dawaj! Dawaj!

Final D8000



W towarzystwie najbliższej konkurencji.

U Finali bez zmian, to znaczy ten sam kabel. Ale za to zmiany brzmieniowe – i to idące po części w drugą stronę niż u Meze. Nie tyle pogłębienia i zwiększenia objętości, bo one już z odtwarzaczem przenośnym grały bardzo głęboko i najbardziej objętościowo, tylko tego eleganckiego uspokojenia i jeszcze większej otwartości, o jakich pisałem w recenzji. Gładź gładka jak masa tortu i tak samo obfita, a brzmienie pozbawione pogłosu i całkowicie otwarte oraz najbardziej bliskie. Nie tyle może bliższe, bo też nie grające w głowie, ale z jeszcze większymi źródłami dźwięku, jakby skłonięne ku słuchaczowi bardziej. Sopranów mniej w przekazie, a troszkę więcej basu – i wraz z tym mniejszym kwantem wysokich tonów kontury mniej wyostrome, a same głosy mniej napięte emocjonalnie; należące do ludzi będących w spokojniejszym stanie ducha. Grubsze (wyraźnie) struny i większe bębny o grubszych membranach, w wokalach nuta lekkiej obojętności; cośkolwiek z ducha rezygnacji, mniej zaangażowania. Ciśnienie akustyczne wyższe, mimo że struny słabiej naprężone, ale dzięki niższemu a też znakomicie nośnemu brzmieniu tak zwany „kawał dźwięku”, swoisty muzyczny walec.

To było brzmienie walczące przy ekstremalnej jakości, epatujące rozmiarem, potęgą, miarą grzmotu. Scena znowu wysoka, znowu w pełni otwarta, a na niej brzmienia bardziej akcentujące pudła niż struny. Lecz jednocześnie bez pogłosów, których w tych pudłach być oczekiwał. Szczeknięcie u Vangelisa przy mniejszych sopranach bardziej wtopione w całość i niosące mniej informacji. Temperatura podobna, śladowo tylko niższa, ciągle pozostająca w ramach naturalności a nie ocieplania czy chłodu. Ogólnie znowu super, że zakochujesz się od razu; z tym, że to brzmienie dla wołających spokojniejsze i gładkie – pozbawione sopranowego drżenia duszy i wyostrania konturów. Za to pełniejsze, potężniejsze i na mocniejszym basie, że trochę aż do przesady, lecz jakie to przyjemne...

Audeze LCD-4z

I znów jesteśmy u celu, ponownie przy przedmiocie recenzji. Który to przedmiot najtrudniej opowiedzieć, aby trafić w sedno. Audeze bowiem ani nie walczą, ani nie podkreślają przekazu. Przeciwnie – zachowują umiarkowanie zarówno pod względem rozmiaru dźwięków i ciśnienia, jak i ewentualnej podniety. Gram sopranów nie zostaje dodany w imię jej pobudzenia, tak samo jak gram basu na rzecz epatowania potęgą. Do tego są najcieplejsze, co jeszcze wszystko łagodzi, wprowadzając atmosferę niemalże sielską. Kontury same obłe, wypełnienie w sam raz, prosto z życia – całe brzmienie „normalne”, bliskie i dosyć ciepłe. W porównaniu z tamtymi łagodne co do emocji i wielkości, żadnego czymś przytłaczania. Swojskie, generalnie przyjazne, uciekające od ekstremów. Uchylające się od opowiedzenia po którejkolwiek stronie stylistycznej bardziej zdecydowanie – mistrzowsko celujące w złoty środek. I wraz z tym pozornie łatwe, a tak naprawdę trudne; wymagające umiarkowania i wyrobienia u słuchacza oraz maksymalnej jakości od sprzętu. W pierwszym, by nie rozminąć się z oczekiwaniami, w drugim, by tę zwyczajność przeistoczyć w muzykę. Taką bez powiększania, przybliżania, dociążania, podostrzania. Zostawić w niej samą melodykę, a sopranu nawet powściągnąć, by nie powstało wrażenie nadnaturalnej zwykłej mowy.



Która nie chce ustąpić pola.

I na tej kanwie uwaga, że w dużym stopniu łagodność tę można regulować interkonektem, wiele od niego zależy. Doskonale sprawdzający się z Final, a jeszcze lepiej z Meze, łagodny i podobny stylistycznie do Audeze Siltech Empress Crown okazał się z nimi za łagodny, po przepięciu na Sulka zrobiło się ciekawiej. Z większym naciskiem na dźwięczność, minimalnym dodatkiem pogłosów, cokolwiek głębszym i ciemniejszym brzmieniem. Minimalnym też podkreśleniem konturów i nutą smutku miast obojętności – nieomylnymi oznakami mocniejszych sopranów. I druga wraz ze zniweczeniem tej obojętności rzecz istotna się stała – znikł minimalny dystans do przedmiotu. Być może tylko skutkiem obojętności powstający, bo obojętność zawsze dystansem, ale chyba też większej wyrazności. Nie odmówiłbym brzmieniu z Empress Crown znakomitych walorów, jako że neutralność i naturalizm podsuwał jako jedyne ekstremum, lecz było to brzmienie jawnie uspokojone, dla jego zdeklarowanych zwolenników. Kto zaś pragnie „wszystkiego więcej”, z Sulkiem zdecydowanie by wołał, mimo iż to kabel generalnie łagodny i bardzo melodyjny. A jednak zadziorniejszy od trzeciego teraz od góry Siltecha, pasującego rewelacyjnie do słuchawek samych z siebie bardziej wyrywnych. Brzmienie Audeze z Sulkiem stało się wysoce podobne do wcześniejszego Meze z Siltechem, niemniej wciąż łagodniejsze, bardziej wypośrodkowane, nieco dalsze i z tą zdiagnozowaną przy odtwarzaczu przenośnym wyjątkowo zachęcającą „mieszkową” fakturą. Najdoskonalej też obrazujące materiał brzmieniowy jako całość i jednocześnie najbardziej spójne, obfitujące w tkankę łączną. Co nie przeszkadzało wyrazności i obfitości bitowej – szczenięcie u Vangelisa okazało się właśnie z Audeze najbardziej nośne informacyjnie, mimo iż jednocześnie najlepiej wkomponowane w całość. Wszystkie aspekty bardzo mocne i całkowita wolność od zniekształceń: bębny prawdziwa

rewelacja, wokale autentyczne, znakomicie wyplaszczająca się w perspektywicznym ujęciu scena bez podrywania dźwięków do góry. Ogólnie jakość sensoryjna, już trzecia tego wieczoru. I bardzo zmęczony porównaniami recenzent, bo takie badawcze sesje męczą.

Z gramofonem

To miało być zwieńczenie, ale trochę nie wyszło. Flagowy dla HiFiPhilosophy wzmacniacz słuchawkowy ASL Twin-Head, niezależnie od tego, że pozostała z niego nazwa, schemat i obudowa, projektowany był w czasach, kiedy słuchawki audiofilskie miały wysoką impedancję. Mimo to dobrze radzi sobie w przypadku mających niską, ale nie skrajnie niską. Doskonale było to słyszeć podczas brzmieniowej wędrówki od Final D8000 (60 Ω), przez Meze Empyrean (30 Ω) do Audeze LCD-4z (15 Ω). Równoległe do linii przyrostu impedancji rozciągnęła się linia przyrostu jakości i gramofon nic na to nie mógł poradzić. Z tym, że różnica między Final a Meze nie okazała się duża i te drugie też grały rewelacyjnie, mimo iż wyczuwalnie słabiej. Natomiast Audeze już odstawały, choć wciąż była to świetna jakość w tym ich charakterystycznym stylu wyśrodkowania i popisowej muzykalności. Impedancja działała tu jednak jak tłumienie: Final przy swojej szalały, oszalałamiąc wręcz jakością, Meze niewiele były z tyłu, też niemal w pełnym galopie, a nie pasujące impedancyjnie Audeze już powściągane, kłusujące.



A kuferek to kufer.

Przy czym, co trzeba odnotować, ich style się nie zmieniły, aczkolwiek Final dały popis pod każdym jednym względem i wszystkie te ich gładkości czy uspokojenia przeistoczyły się w prawdziwą kaskadę szalejących jakością dźwięków. W tej sytuacji uczciwie podchodząc do sprawy powinienem był zastąpić Twin-Head'a wzmacniaczem obsługującym równie dobrze wszystkie impedancje, tym bardziej, że takim dysponuję. Zasobny w czteropozycyjny przełącznik Phasemation idealnie się do tego nadawał, ale zabrakło czasu. Umówiony już byłem wcześniej na wysyłkę używanego tu kabla Tonalium do Metrum Lab, celem poddania uszlachetnieniu, a po słuchaniu z Twin-Head zbyt zmęczony, by ciągnąć odsłuch z Phasemation. Zwłaszcza, że postać musiałby wcześniej pod prąd, a był już późny wieczór. Wszakże nic straconego, napiszę osobny artykuł jako aneks, w którym Audeze, Meze i Final zmierzą się raz jeszcze przy gramofonie, tym razem przy równych szansach. Tymczasem podsumowanie.

Podsumowanie



W dzisiejszej dobie zalewu słuchawek niełatwo wywalczyć sobie na rynku miejsce dostatecznie eksponowane. Firmie Audeze się udało, a nowy model LCD-4z jest kolejnym przyczynkiem do utrwalania tego stanu. Słuchawki są specyficzne i niespecyficzne zarazem, to znaczy specyficzne poprzez dążenie do braku specyficzności. Regułą niemal pozostaje (choć trzeba przyznać uczciwie, że topniejącą wraz ze wzrostem jakości), chęć zabłyśnięcia czymś niezwykłym, zwrócenia na siebie uwagi jakąś ekstrawagancją. Basem wyraźnie przedobrzonym, rysunkiem nadnaturalnie ostrym, pogłosem wpędzającym w odrealnienie, szczegółami kosztem prawidłowego wypełnienia lub vice versa. Im wyżej z jakością się dźwigamy, tym mniej takich wyskoków, zastępowanych przez muzykę w wymiarze prawdziwości. Proporcje się wyrównują, niedociągnięcia zanikają, sama jakość wystarcza za dźwignię. Tym niemniej odtworzenie muzyki powstałej na strunach, w piszczałkach, na membranach oraz w kielichach trąbek przez drgania niewielkich membran z różnych tworzyw tuż nad uchem, to zadanie tak karkołomne, że w istocie budzi zdumienie, iż coś takiego jest możliwe. Nie powinna natomiast go budzić diagnoza, że nawet przy ekstremalnych wysiłkach konstruktorów, ich mniej czy bardziej różne podejścia do konstrukcji słuchawek dają odmienne brzmienia. Dużo w tym świadomego wyboru, ale pewnie i coś z przypadku, a sumy poszczególnych dokonań ścierają się w porównaniach jak te tutaj powyżej. Wynika z nich, że Audeze LCD-4z to słuchawki o ekstremalnej melodyjności i popisowym wyważeniu. Być może najdalej spośród wszystkich w ogóle odchodzące od stylu „tym się popiszę kosztem tego”, który na ich poziomie nie tyle tyka kosztów, co tyczy samego stylu. Słuchawki tak doskonałe, jak te tu porównywane, nie mają bowiem problemu „coś za coś”, a raczej wyboru tego, na co położyć szczególny nacisk. I tym wyborem w przypadku Audeze LCD-4z jest brak takich nacisków dających naturalność. Przy czym – rzecz odnotujmy – środki nacisku, tak naprawdę, są dwa: naciśniemy mocniej sopranu lub podziałamy basem. Bas da nam wypełnienie i potęgę, sopranu zwiększą scenę i wyrazność. Z basem będzie spokojniej, a z sopranami rzewniej. Bardzo nieznaczne przesunięcia na osi sopranu-basy dają duże różnice, czasami dramatyczne. Do czego dochodzi umiejętność przydania dźwiękom przestrzeni (wkracza komora akustyczna) oraz całościowego wyrafinowania za sprawą głównie membrany i napędu. Kablem zaś można cieplej-zimniej oraz podtrzymać jakość. Tego ostatniego naszym Audeze nieco brakło – kabel jest dobry lecz nie rewelacyjny. Natomiast odnośnie cech pozostałych trzeba się nisko uklonić. To są słuchawki powściągliwe, ale w imię elegancji i prawdy. Co tę posiada zaletę, że w miarę wzrostu jakości toru może być tylko lepiej. Wystrzegać jedynie się trzeba jakichś pierwiastków łagodzących, powstałych z myślą o tych, którzy chcą zbyt szarżować. Tak było w przypadku interkonektu Siltecha, doskonale pasującego do lekko cisnących sopranu Meze. I oczywiście trzeba zadbać o

dopasowanie impedancyjne. To w sumie jedyna cecha stanowiąca u tych LCD-4z ekstremum. Przy ekstremalnie niskiej impedancji pasują do sprzętu przenośnego, albo do tych wzmacniaczy, które jej regulację mają. Miał ją na szczęścia Ayon, nie miał niestety Twin-Head. A ostatecznie podsumowując: flagowe słuchawki Audeze, zarówno te z „Z” jak bez niego, są przede wszystkim dla tych, którzy chcą mieć w muzyce równowagę na najwyższym poziomie.

W punktach

Zalety

- o Znakomicie wyważone składniki brzmienia na najwyższym poziomie.
- o Żadnego więc basowego efekciarstwa, żadnego efekciarstwa sopranowego.
- o W rezultacie brzmienie jak z życia, jakbyś z kimś spotkanym rozmawiał.
- o Ale zarazem jakość, a już zwłaszcza na tle porównań, chwyta za serce autentyzmem i przemożną chęcią słuchania.
- o W tym poza samą naturalnością także powabem faktury dźwięków oraz sposobem ich plasowania w przestrzeni.
- o Bardzo trudna do osiągnięcia, a tu zrealizowana perfekcyjnie, umiejętność godzenia najwyższej klasy brzmienia z brakiem zmęczenia słuchacza.
- o Trudno doprawdy zgadnąć, jak oni to zrobili, że sopran są takie dźwięczne, a tak nie kłujące w uszy.
- o I w drugim krańcu pasma, że tak potężne bębny i tak autentyczne membrany, a nie ma basowego przedobrzenia ani jako przysłony innych dźwięków, ani jako tonalnego przechyłu.
- o Całościowa potęga brzmienia.
- o Dynamika, rozmach, szybkość.
- o Neutralność emocjonalna.
- o Leciutkie ciepło potęguje wrażenie przebywania w prawdziwym i przyjaznym świecie.
- o Brak sopranowego wzmoczenia ani trochę nie utrudnia ekspozycji szczegółów, która jest popisowa.
- o Wzorcowy high-end dla ludzi nie poszukujących wyżyłowanych brzmieniowo ekstremów.
- o Powstałe z myślą o obsłudze najpopularniejszych teraz urządzeń przenośnych.
- o Ekstremalnie cienka membrana o dopasowującej się do siły magnesów zmiennej grubości.
- o Fluxor™.
- o Fazor™.
- o Ciężkie ale wygodne.
- o Żadnych kłopotów z regulacją.
- o Odpinany kabel pozwala poszukać lepszego.
- o Oryginalny jest dobry, ale „dobry” wyczerpuje jego zalety.
- o Pod względem prezencji zewnętrznej najlepiej dopracowane Audeze.
- o Spokojny także wygląd.
- o Potężny kufer podróżny.
- o Bardzo ceniony producent.

- Made in USA.
- Polski dystrybutor.
- Ryka approved.

Wady i zastrzeżenia

- Szczególnie niska impedancja ma też swoje ograniczenia.
- Ten kabel mógłby być lepszy.
- I drugi krótszy by nie zaszkodził.
- W wielkim kufrze powinno się znaleźć miejsce na skromny bodaj stojak.
- Bardzo drogie.

Dane techniczne Audeze LCD-4z:

- Słuchawki planarne, wokółuszne, otwarte.
- Muszle: magnez.
- Pałak: karbon.
- Membrana: Nano-scale Uniforce™ (zmiennie-grubościowa); $\varnothing 106$ mm.
- Magnes: N50 (neodymowy) o mocy 1,5 Tesli.
- Zarządzanie fazowe: Fazor Technology.
- Pasmo przenoszenia: 5 Hz – 50 kHz.
- Impedancja: 15 Ω .
- Czułość: 98 dB / 1 mW.
- THD: < 0,1 %.
- Moc minimalna sygnału wejściowego: 100 mW.
- Moc zalecana sygnału wejściowego: 250 mW – 4W.
- Moc maksymalna sygnału wejściowego: ciągła – 5 W; chwilowa (do 200 ms) – 15 W.
- Maksymalny SPL: 130 dB.
- Czułość napięciowa: 107 dB/1V.
- Waga: 607 g.
- Kabel: długości 2,5 m z wtykami przy muszlach mini-XLR i końcówką niesymetryczną 6,3 mm (przejściówka na 3,5 mm w komplecie).
- Profesjonalne etui podróżne.
- **Cena: 18 995 PLN (\$ 3995)**

System:

- Źródła: Astell & Kern AK380, PC z Ayon Stratos, Transrotor Alto z ZYX Ultimate OMEGA.
- Przedwzmacniacz gramofonowy: Octave Phono Module.
- Wzmacniacze słuchawkowe: ASL Twin-Head, Ayon HA-3.
- Słuchawki: Audeze LCD-4z, Final D8000, Meze Empyrean.
- Interkonekty: Siltech Empress Crown, Sulek Audio & Sulek 6×9.

- Kable zasilające: Acoustic Zen Gargantua II, Acrolink MEXCEL 7N-PC9700, Harmonix X-DC350M2R, Illuminati Power Reference One, Synergistic Research Level 3 High Current, Sulek 9×9 Power.
- Listwy: Power Base High End, Sulek.
- Stolik: Rogoz Audio 6RP2/BBS.
- Kondycjoner masy: QAR-S15.
- Podkładki pod kable: Acoustic Revive RCI-3H, Rogoz Audio 3T1/BBS.
- Podkładki pod sprzęt: Avatar Audio Nr1, Acoustic Revive RIQ-5010, Divine Acoustics KEPLER, Solid Texh „Disc of Silence”.